

Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocamboles

**OSTATNIE SŁOWO
ROCAMBOLE'A**
część czwarta



**Tom
22**

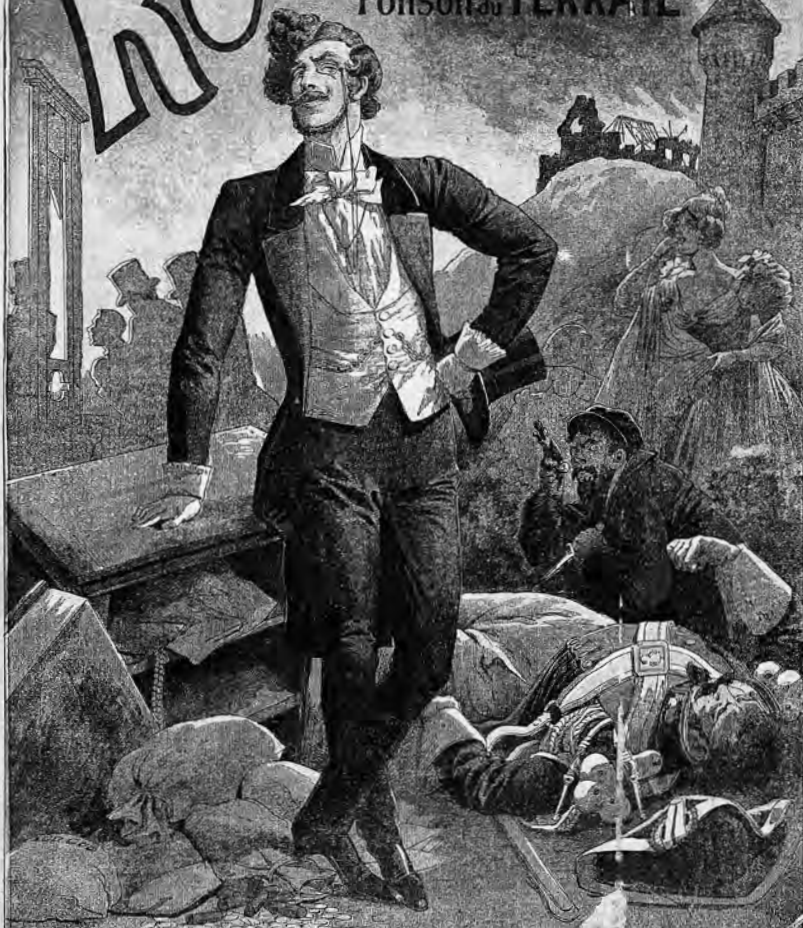


Ruda Śląska 2024
ISBN 978-83-66268-19-7 (kolekcja)
ISBN 978-83-67876-22-3 (tom 22)

LES DRAMES DE
PARIS

ROCAMBOLE

PAR
Ponson du TERRAIL



GRATUITEMENT

De Numéro doit être distribué

Roc. N° 1

Publications JULES ROUFF & C. 4, Rue de la Vrillière, PARIS (1^{re})

N° 1

Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Rocambole



Ostatnie słowo Rocambole'a
część czwarta



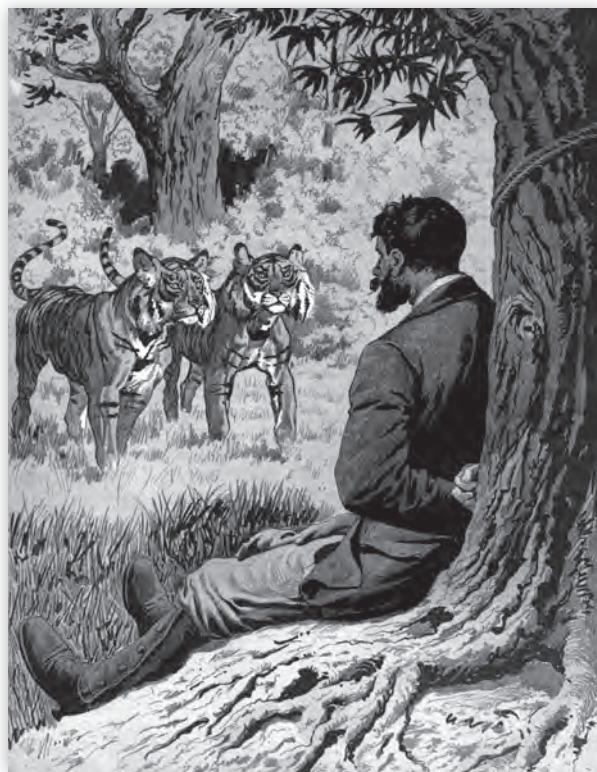
Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocamboles

Ostatnie słowo Rocamboles'a

część czwarta



Przełożył
i przypisami opatrzył
Andrzej Zydorczak

Wydawnictwo
JAMAKASZ
Ruda Śląska 2024

*Sto czterdziesta
publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ*

*Dwudziesty drugi tom
kolekcji „Rocambole”*

Tytuł oryginału francuskiego: *Le dernier mot de Rocambole*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2024

28 ilustracji, w tym 24 karty tablicowe kolorowe: Louis-Charles Bombled,
Paul Kauffmann, Désiré Quesnel (wg Wydawnictwo Jules Rouff, Paris 1894)

Redaktor kolekcji: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Maria Sarnowska

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2024

ISBN 978-83-66268-19-7 (całość kolekcji)

ISBN 978-83-67876-22-3 (tom 22)

Druk i oprawa: Totem.com.pl Sp. z o.o. Sp. Komandytowa
88-100 Inowrocław, ul. Jacewska 89



Wydawnictwo JAMAKASZ

www.jamakaszk.pl

e-mail: jamakaszk2013@gmail.com

tel.: 32 340 21 42, 531 094 758

Ruda Śląska 2024

Skarb radzy



Dalszy ciąg manuskryptu Rocambole'a



VI

Pole Różowych Perel, pomimo swej wdzięcznej nazwy, było dziwą doliną otoczoną od północy, wschodu i zachodu wysokimi, skalistymi górami.

Na południu, schodząc w kierunku Kalkuty, podróżny napotka jeden z tych nieprzeniknionych lasów, które służą za schronienia tygrysów i panter.

Był to wał ochronny tego tajemniczego schronienia wybranego przez braci Koli-Nana do wzniesienia stosu. Aby tam dotrzeć, angielscy żołnierze musieliby przejść przez las, a Europejczyk boi się tygrysów znacznie bardziej niż tubylec.

Panowała noc. Jeden po drugim, Hindusi w kondukcie pogrzebowym, przybywający z różnych stron, zbierali się i rozbijali swoje namioty, a namiot wdowy postawiono w centrum.

Według zwyczaju, bramini i muzycy na zewnątrz mieszały dziwny, monotony dźwięk swoich instrumentów z równie dziwnymi pieśniami celebrującymi szczęście zarezerwowane w hinduskim raju dla odważnej kobiety, która dołączyła do swojego męża po śmierci. Ale ani muzycy, ani bramini nie weszli do tego namiotu. Do środka weszli tylko bracia.

Zastali Koli-Nanę w stanie wielkiego uniesienia, przeglądającą jedno po drugim hebanowe i sandałowe kufierki zawierające jej klejnoty. Obok niej znajdowała się kobieta. Była to jej wierna towarzyszką, jej mleczna siostra, Murzynka Manoura, ponieważ Koli-Nana ssała mleko czarnej kobiety.

Manoura płakała i lamentowała. Kochała Koli-Nanę, oddałaby za nią całą swoją krew, a Koli-Nana umrze.

Gdy dzicy bracia weszli do namiotu, wymienili zadowolone spojrzenia. Koli-Nana była gotowa na ofiarę: wejdzie na stos, śpiewając.

Manoura ukrywała przed nimi swój ból najlepiej jak potrafiła, ale kiedy wyszli, znów zaczęła płakać.

Bracia, wychodząc, powiedzieli:

– Teraz możemy wznieść stos.

Murzynka Manoura szlochała, myśląc, że nadchodzi dzień i że płomień, które pochłoną Koli-Nanę, zapłoną wraz z pierwszym promieniem słońca.

Ale nagle Koli-Nana nagle zamknęła swoje szkatułki i kuferki. Pieśń śmierci, którą zaintonowała, zamarła na jej ustach; gorączka w jej oczach nagle zgasła.

Manoura była zdumiona, widząc, jak podchodzi do niej, kładzie jej rękę na ramieniu i mówi do niej:

– Nie płacz!

– Jak mogę nie płakać? – odparła Murzynka. – Nie zamierzasz umrzeć?

– Być może... – powiedziała Koli-Nana.

A gdy Murzynka wydała okrzyk radości, wdowa po radzy przyłożyła palec do ust:

– Milcz! – powiedziała.

Uniesienie Koli-Nany zniknęło; była spokojna, choć nieco blada, a w jej oczach, w których kiedyś zdawała się błyszczeć gorączka, lśniło teraz ponure postanowienie.

– Nie – powiedziała – nie mogę umrzeć... nie umrę...

Manoura pokiwała głową...

– Zmuszą cię do śmierci na stosie – powiedziała.

– Osmany czuwa nade mną.

Manoura wzdrygnęła się na to imię.

– Osmany mnie kocha – dodała Koli-Nana – i przysięgłyśmy sobie wieczną miłość. Osmany przysiągł mnie ocalić, a Osmany nigdy nie złamał swojej przysięgi.

Manoura uniosła jeden z rogów namiotu i popatrzyła w niebo.

– Gwiazdy bledną – powiedziała.

– Jakże to ma znaczenie! – szepnęła Koli-Nana.

– Widzę twoich braci, pani, zmierzających w stronę lasu.

– Nieważne!

– Będą rąbać drewno przeznaczone na twój stos.



– Osmany przybędzie, zanim stos zostanie zbudowany – odpowiedziała Koli-Nana z przekonaniem w głosie.

Ale Manoura, niespokojna, przykucnęła w kącie namiotu i wyszeptała:

– Skąd Osmany może wiedzieć, gdzie jesteśmy? Dobrze wiesz, pani, że wczoraj zaszło słońce i nikt jeszcze nie wiedział, w jakie miejsce zostaniesz zaprowadzona, by umrzeć.

– Posłuchaj dalej – odparła Koli-Nana. – Czy widziałaś kupca z Benares?

– Tego, którego przyjął twój zmarły mąż?

– Tak.

– Przyłączył się do naszego orszaku – powiedziała Manoura. – Czy to był rozkaz Osmany’ego?

– Tak – odparła Koli-Nana i zniżywszy głos, dodała: – Podeszedł do mnie i powiedział te słowa: „Miej nadzieję, jestem tutaj!”.

Wiara Koli-Nany w obietnicę Osmany’ego była tak głęboka, że Manoura poczuła się wstrząśnięta. Ona również miała nadzieję.

Tymczasem na niebie pojawiła się biaława poświata, a gwiazdy przestały świecić.

Bracia Koli-Nany pocięli drewno przeznaczone na stos i z pomocą niewolników zaczęli układać je na pośrodku doliny.

– Pani! Pani! – zawołała Manoura, załamując ręce z rozpaczy. – Za godzinę będzie za późno!

Ale nagle bramini zawiesili śpiewy, rozległ się odgłos galopujących jeźdźców, potem dwa strzały z pistoletu, potem okrzyki wściekłości i śmierci.

– To Osmany! – zawołała Koli-Nana.

Niestety, to nie był Osmany. To czterej angielscy oficerowie, którzy wpadli jak piorun, z szablami w zębach i pistoletami w rękach, do hinduskiego obozu.

Bracia Koli-Nany próbowali stawiać opór, ale do czterech Anglików dołączył fałszywy kupiec z Benares, major *sir* Edwards Linton.

Wywiązała się zaciepka walka, połała się krew, bracia Koli-Nany padali jeden po drugim; przerażeni Hindusi uciekli i wówczas major *sir* Edwards Linton pogalopował przez Pole Różowych Perłę, niosąc w ramionach Koli-Nanę, na wpół omdlałą i szepczącą z ekstazą imię jej ukochanego, księcia Osmany’ego.





VII

Minęło dziesięć lat, odkąd piękna Koli-Nana została uratowana przed barbarzyńskim losem, jaki ją czekał.

Czterej bracia wdowy zginęli w walce i tylko oni mogli zdać sobie sprawę z podstępu wymyślonego przez ojca i siostrę Koli-Nany w porozumieniu z Osmanym.

Zabrana do domu ojca, Koli-Nana żyła tam w ukryciu przez kilka miesięcy. W tym czasie jej czarne włosy, dzięki staraniom zręcznego indyjskiego lekarza, zmieniły kolor na blond. W tym samym czasie w górach rozeszła się wieść, że Koli-Nana, wdowa po radży, została uratowana przed stosem przez angielskich żołnierzy i nikt nie podejrzewał Osmany'ego, nowego władcy. W rezultacie po sześciu miesiącach młody książę poślubił z wielką pompą kobietę uważaną za siostrę samej Koli-Nany.

Jedwabny welon, który zakrywa część twarzy hinduskich kobiet, również sprzyjał tej zamianie.

Przez te dziesięć lat miało miejsce wiele wydarzeń.

Radża Osmany zwołał pod swój sztandar wszystkie rozproszone plemiona górskie, głosząc krucjatę niepodległości. Mały górski książę stał się wielkim władcą. Kiedyś radża Nijid-Kouran miał pod swoim berłem ledwie kilka małych wiosek; jego brat Osmany zatknął flagę nad tuzinem kwitnących miast w żyznych dolinach. Nijid-Kouran był tylko partyzanckim przywódcą walczącym nierównymi siłami przeciwko potężnej Anglii; Osmany stał się wielkim księciem, którego Kompania Wschodnioindyjska nie zdołała nigdy zmusić do posłuszeństwa.

Jednak, jak sobie przypominamy, Osmany powiedział do majora *sir* Edwardsa Lintona: „Niech Anglia uratuje Koli-Nanę, a będę jej posłuszny”.

Czy zatem Osmany złamał obietnicę i podeptał przysięgę?

Nie, gdyż major *sir* Edwards powiedział mu: „To nie Anglia uratowała Koli-Nanę, tylko ja”.

Od tego momentu major stał się przyjacielem radży, który uczynił go swoim premierem.





Major sir Edwards Linton pogalopował przez Pole Różowych Perel, niosąc w ramionach Koli-Nangę, na wpół omdlałą i szepczącą z ekstazą imię jej ukochanego, księcia Osmany'ego.

Dzięki wspaniałej znajomości hinduskich zwyczajów i języka, majorowi nietrudno było uchodzić za prawdziwego Hindusa w oczach poddanych Osmany'ego.

W tym samym czasie do Kalkuty dotarła wieść o śmierci majora.

Miesiąc po porwaniu Koli-Nany, które wywołało pewną sensację, mówiono, że major został zamordowany przez Hindusów. Od tamtej pory nie było o nim żadnych wieści. Prawda była jednak taka, że major, stawszy się prawdziwym Hindusem, trzymał w europejskiej karności wojska radży Osmany'ego, zgwałtował jego ludzi pod mniej barbarzyńskimi i bardziej cywilizowanymi prawami i przekształcił to plemię w wielki naród.

Czy zatem major zdradził Anglię? To właśnie zdawało się wynikać z jego postępowania, tym bardziej, że wszędzie wokół Osmany'ego podbite ludy jeden po drugim buntowały się i zbierały pod sztandarem radży.

Major miał wtedy czterdzieści lat. Był odważny do granic lekkomyślności; kilkakrotnie pokonał Anglików w bitwach, a imię Tipu-Runo¹ – bo takie przyjął – stało się postrachem angielskich armii.

Tylko dwie osoby znały jego prawdziwe pochodzenie – Osmany i Koli-Nana, która dała Osmany'emu syna, który nie miał jeszcze dziesięciu lat i zapowiadał się na równie odważnego i inteligentnego jak jego ojciec.

W tym czasie na dwór radży przybył Europejczyk, Francuz. Tym Europejczykiem, tym Francuzem, byłem ja, Rocambole.

Udałem się do Indii, by dostarczyć Anglii przywódców Dusicieli.

Moja misja została wykonana, mogłem więc wrócić do Europy lub szukać przygód pod tym gorącym niebem, w tym tajemniczym kraju nad brzegami Gangesu i Eufratu, który zawsze będzie przyciągał wyobraźnię ludzi mojego kalibru.

Radża przyjął mnie z przychylnością; zaoferował mi nawet dowództwo w swojej armii. Zgodziłem się.

¹ *Tipu-Runo* – dalekie nawiązanie do *Tippu (Tipu) Sahib* (1749-1799) – także Tipu Sultan, władca królestwa Majsuru od roku 1782, poszerzył jego granice, wprowadził wiele reform, w roku 1783 sprzymierzył się z Francuzami przeciwko zagrażającemu mu Anglikom, stoczył z nimi cztery wojny, podczas ostatniej w roku 1799 obleżony w warowni swej faktycznej stolicy, Seringapatam pod Majsurem, zginął podczas walk.



Wkrótce jednak zdałem sobie sprawę, że wzbudzam zazdrość Tip-po-Runa, czyli majora Lintona. Radża Osmany miał ślepe zaufanie do tego człowieka. Od pierwszego dnia, kiedy go zobaczyłem, poczułem do niego szczególnie wstręt.

– Ten człowiek – powiedziałem sobie – ten człowiek, który zdradził Anglię, prędzej czy później zdradzi radzę.

Tymczasem był obsypywany dobrami i zaszczytami, i trudno mu było pragnąć więcej. Ale ten człowiek miał marzenie – marzenie niezwykle ambitne. Bycie premierem było niczym; on chciał panować!

Wokół każdego tronu zawsze są ludzie, którzy spiskują; a spiskowcy są często przyjaciółmi lub krewnymi władcy. Osmany miał bratanka, syna Nijida-Kourana i kobiety innej niż Koli-Nana. W Europie syn króla staje się jego następcą; na Wschodzie tron jest często przekazywany z brata na brata.

Syn Nijid-Kourana miał dwadzieścia lat i pożądał tego imperium, które było bardziej dziełem jego stryja niż ojca. Ale nie miał ani władzy, ani zwolenników, a Osmany miał wokół siebie tylko lojalnych poddanych. Tylko jeden człowiek mógł go zrozumieć, a był nim Tip-po-Runo, innymi słowy major *sir* Edwards Linton. Tippo i wydiedziczony książę porozumieli się. Ten pierwszy wzniecił bunt wojskowy, ale bunt został stłumiony, a Tippo-Runo działał tak umiejętnie, że cała wina spadła na młodego księcia, który został skazany na śmierć. Osmany nawet nie podejrzewał człowieka, którego nazywał swoim wiernym Runo, o zdradę.

Tylko jeden człowiek domyślił się ukrytej roli, jaką odegrał w spisku. Byłem nim ja. Próba otworzenia oczu radży Osmany'emu była niemożliwa. Walka z Tippo-Runo to była trudna sprawa. Mimo to zaakceptowałem walkę, cichą, nieubłaganą walkę, bez wytchnienia i litości.

Odkąd otrzymałem dowództwo w armii, mieszkalem w prawdziwym pałacu u bram Benares.

Pewnego dnia jeden z oficerów Tippo-Runo zaprosił mnie, bym odwiedził go w jego rezydencji nad brzegiem Gangesu.

Wsiadłem na konia i wyruszyłem.





VIII

Tippo-Runo – brzmiał dalej rękopis Rocambole'a – był, po radży Osmanym, największym dostojnikiem w kraju, a sprzeciwienie się jego rozkazom było możliwe tylko wtedy, gdybym stał na czele dowodzonych przeze mnie wojsk. Mimo to przeczuwałem pułapkę. Czego mógł chcieć ode mnie ten człowiek, który wielokrotnie okazywał mi swoją niechęć?

Wsiadłem na konia, zabierając ze sobą jedynie niewielką eskortę jeźdźców i służby, i przez część dnia jechałem ramie w ramie brzegiem Gangesu z posłańcem Tippo-Runa.

Przybył sam i byłem nieco zaskoczony, gdy pod wieczór dotarłem na skraj jednego z tych wspaniałych lasów, które nurzają swoje gigantyczne drzewa w wodach Gangesu. Byłem nieco zaskoczony, jak mówię, widząc duży oddział mężczyzn na koniach lub słońiach, którzy zdawali się na mnie czekać.

– Co to jest? – zapytałem mojego przewodnika.

– To wojownicy, których Tippo-Runo wysłał na spotkanie z tobą, by oddać ci honor – odpowiedział.

„Albo żeby wziąć mnie do niewoli” – pomyślałem.

Od tego momentu zaufałem mojej gwieździe, tajemniczej gwieździe, która chroniła mnie, odkąd zmieniłem swoje życie, i skrucza wstąpiła w moją duszę.

Eskorta zamknęła się wokół mnie i moich jeźdźców. Posłaniec Tippo-Runa musiałby tylko dać znak, byśmy zostali zmiażdżeni pod nogami słońi. Jednak po części nocnej podróży dotarliśmy cali i zdrowi do rezydencji Tippo-Runa.

Straszny i potężny minister czekał na mnie, leżąc na macie ze słomy ryżowej w pokoju, w którym niewolnicy palili wonności, a tryskająca fontanna nieustannie chłodziła atmosferę.

Na mój widok wstał, podszedł do mnie żywo i po angielsku podał mi rękę. Następnie zażądał, abyśmy zostali sami.

Kiedy jego oficerowie i niewolnicy odeszli, Tippo-Runo nagle zmienił swoją postawę, manieri i język. Usiadł po europejsku i wskazując mi miejsce, zwrócił się do mnie po francusku.



- Chciałem się z panem zobaczyć – powiedział – ponieważ jestem przekonany, że się dogadamy.

Popatrzyłem na niego i czekałem.

- Jest pan Francuzem? – zapytał mnie.

- Tak – odpowiedziałem.

- Trzy tysiące lig od kraju Francuz jest zawsze poszukiwaczem przygód – orzekł i uśmiechnął się nieco pogardliwie.

- Dowodem na to – dodał – jest pańskie przybycie na dwór radży i wstąpienie do jego armii.

- Zgoda – powiedziałem – jestem poszukiwaczem przygód.

- Dlatego jeszcze raz panu mówię – powiedział, uśmiechając się – że na pewno się dogadamy.

Poczekalem jeszcze trochę. Jego przebiegła i chytra twarz nabrała nagle wyrazu wielkiej energii.

- Posłuchaj pan – kontynuował – radża Osmany jest potężnym księciem, przynajmniej z pozoru.

- I trochę w rzeczywistości, bez wątpienia – rzekłem stanowczo.

- Ale – kontynuował – władza indyjskiego księcia, który ma Anglię u swoich drzwi, podlega wielu zmiennościom losu.

- Dzięki Bogu – odpowiedziałem – radża może się długo opierać.

- Tak pan myśli?

- I jeśli nie zostanie zdradzony...

- Ach! – powiedział – Więc pan myśli, że może zostać zdradzony!

- Czyż nie został już zdradzony?

Rzekłszy to, spojrzalem uważnie na niego.

Odrzucił cygaro, które palił i powiedział do mnie z akcentem najwyższej pogardy:

- Musisz zdać sobie sprawę, poszukiwaczu przygód, że zaprosiłem cię tutaj, aby odbyć z tobą szczerą rozmowę. Wiem, co o mnie myślisz...

- Ach!

- Jesteś przekonany, że jestem zamieszany w spisek syna Nijid-Kourana.

- Myślę więcej, Tippo-Runo – odparłem, patrząc mu prosto w oczy.

- I co?

- Myślę, że to ty uknułeś ten spisek.



– Masz rację – stwierdził chłodno.

– Czego ty ode mnie chcesz?

Byłem spokojny i zimny i nie wydawałam się zbyt przejmować jego mocą, kiedy mówiłam w ten sposób.

– To, czego chcę – odrzekł – to najpierw opowiedzieć ci moją historię.

– Słucham.

– Nie jestem Hindusem, nie nazywam się Tippo-Runo – kontynuował.

– Wiem o tym, jest pan Anglikiem.

– Och, wiesz o tym?

– Nazywa się pan major *sir* Edwards Linton.

– Widzę, że jesteś dobrze poinformowany, więc załóżmy jedną rzecz.

– A mianowicie?

– Że pozostałem lojalny wobec Anglii.

– Pan?

Nie mogłem się powstrzymać od wymówienia tego słowa z akcentem najwyższej pogardy.

– Tak – kontynuował – przez dziesięć lat pozostawałem Anglikiem.

– Tocząc bitwy z Anglią?

– Jakie znaczenie mają środki, jeśli cel został w końcu osiągnięty!

– Ekscelencjo – powiedziałem – nie jestem zbyt dobry w odgadywaniu zagadek.

– Więc posłuchaj mnie – rzekł i mówił spokojnie dalej:

– Nijid-Kouran był księżątkiem i Anglia z łatwością by go zmiażdżyła.

– To dlatego pomogłeś jego bratu Osmany’emu stać się wszechpotężnym?

– Innymi słowy, wykorzystałem Osmany’ego do zniewolenia wszystkich małych księząt, którzy buntowali się przeciwko Anglii.

– Wspaniale!

– Zebrał w swoich rękach wszystkie rozproszone ludy, które prowadziły wojnę partyzancką przeciwko Anglii. Teraz wystarczy jedna bitwa, by Anglia unicestwiła to zgromadzenie i na zawsze zniszczyła władzę radży.



- Przerwał na chwilę i spojrzał na mnie.
- Do czego pan zmierza? - zapytałem.
 - Dowiesz się - odpowiedział.



IX

Moja spokojna i zdecydowana postawa wywarła pewne wrażenie na *sir* Edwardsie Lintonie; niemniej jednak wyłożył swoje karty na stół.

- Czy wiesz - rzekł do mnie - że ja, który tak przywykłem do hinduskich obyczajów, że nikt nie śmiałyby potwierdzić na mój widok mojego angielskiego pochodzenia; brzydzę się Indiami, tym okrutnym niebem i tym orientalnym życiem, które wiodę tu od ponad dwudziestu lat.

- Czy to dlatego chcesz zdradzić radzę?
 - Być może... - odparł. - Jestem Anglikiem, oddaję Osmany'ego mojemu krajowi. Gdybym postąpił inaczej, zdradziłbym Anglię.
 - A co ona ci daje w zamian za taką lojalność?
 - Och, to: jestem spragniony dużej ilości złota - odrzekł z uśmiechem.
 - Przecież masz go tu dużo?
 - Anglia da mi jeszcze więcej.
 - Kufry radzy są pełne i możesz z nich czerpać do woli.
 - Anglia da mi te kufry, a ja wrócę do Europy, skąd wyjechałem jako młody człowiek bez fortuny, i będę mógł prowadzić książęce życie w Paryżu lub Londynie.
 - Ekscelencjo - powiedziałem do Tippto-Runa - czy to wszystko, co mi mówisz, nie mówi mi, dlaczego mnie tu zaprosiłeś?
 - Aby poprosić cię, byś był ze mną.
 - Przeciwno radzy?
 - Oczywiście.
- Pokręciłem głową.
- Nazwałeś mnie poszukiwaczem przygód, awanturnikiem - powiedziałem - i miałaś rację, ale nie jestem zdrajcą.
 - Więc odmawiasz?
 - Oczywiście.



Nie okazał ani gniewu, ani zaskoczenia.

– Spodziewałem się tego – powiedział – teraz możesz się wycofać i niech się dzieje co chce. Ale nie odejdziesz bez skorzystania z mojej gościnności, zapraszam cię na kolację.

„On chce mnie otruć” – pomyślałem.

Tippo-Runo trzymał mnie przez trzy kolejne dni i traktował wspólnie. Jedliśmy posiłki twarzą w twarz i, jakby odgadł moje obawy, jako pierwszy próbował każdej potrawy. Częściowo mnie to uspokoiło. Ale co się stało z oficerami, których ze sobą przywiozłem? Było to dla mnie zagadką. Być może premier kazał ich udusić już pierwszej nocy, a może po prostu ich uwięził. W każdym razie nie widziałem ich, odkąd przybyłem.

Trzeciego dnia Tippo-Runo powiedział do mnie:

– Twoje szczerze słowa przyniosły owoce, dotarły do głębi mojego sumienia i oświeciły je. Nie zdradzę rady. Możesz uścisnąć moją dłoń.

Chciałem mu uwierzyć, ale jego fałszywe spojrzenie przeczyło szczerości jego głosu.

Tippo-Runo powiedział do mnie jeszcze:

– Kiedy zobaczysz radzę, nie ma potrzeby siać zamętu w jego duszy. Możesz liczyć na moją lojalność.

– Skoro tak – odparłem – możesz liczyć na moje milczenie.

Zastałem moją eskortę przed drzwiami rezydencji premiera i nie mogłem opanować radości. Myślałem, że moi towarzysze nie żyją. Ich widok ostatecznie mnie uspokoił.

Jednak jednego z nich brakowało. Zauważyłem to i zapytałem o wieści. Jeden z moich oficerów odpowiedział smutno:

– Poszedł zapolować na tygrysa i zginął.

Człowiek, którego tragiczny koniec został mi w ten sposób oznajmiony, był młodym Hindusem o imieniu Moussami, który wielokrotnie dawał mi wielkie oznaki lojalności i poczułem prawdziwy żal.

Tippo-Runo, który towarzyszył mi na progu swego domu, powiedział wtedy do mnie:

– Istnieje pewien hinduski zwyczaj, z którym bez wątpienia jesteś zaznajomiony. Kiedy wybitna osoba składa wizytę innej osobie, jeśli odwiedzana osoba chce uhonorować gościa, zatrzymuje jego



konia i daje mu jednego ze swoich. Zatrzymam więc twojego konia i dam ci najpiękniejszego z moich słońi.

Rzeczywiście, zarezerwowano dla mnie białoszarego słońia, bardzo rzadki gatunek nawet w Indiach. Był okryty bogatym czapra-kiem, a na swym zadzie niósł wieżę z kości słoniowej inkrustowaną klejnotami.

Było to wspaniałe siodło, które podarował mi Tippo-Runo.

Wyruszyliśmy w drogę. Nie towarzyszył nam żaden z żołnierzy ani oficerów Tippo-Runa; otaczali mnie tylko ci, których miałem do swoich usług.

– Jak to możliwe – powiedziałem do siebie po godzinie marszu – że ten człowiek był tak naiwny, znając moją lojalność wobec radży, by pozwolić mi odejść po powierzeniu mi swoich sekretów? Odchodzę sam z moimi towarzyszami, ale z pewnością wpadniemy w jakąś zasadzkę i wszyscy zostaniemy zmasakrowani.

Pod wieczór pierwszego dnia podróży dotarliśmy do dużego lasu.

„To tam zostaniemy zaatakowani” – pomyślałem sobie.

Znowu się myliłem.

Noc minęła i pojawiły się pierwsze promienie świtu.

Nagle mój słoń, który do tej pory szedł spokojnie, posłuszny mahutowi², którym wskazywałem mu właściwy kierunek, podniósł łeb, wyciągnął trąbę i zdawał się gwałtownie wciągać powietrze. Czulem, jak całe jego ciało drży.

„To tygrys” – pomyślałem.

Moi towarzysze wydawali się zdumieni tymi dziwnymi oznakami i podobnie jak ja myśleli, że to tygrys. Ale żadna dzika bestia się nie pojawiła.

Słoń nadal szedł naprzód, a im dalej się posuwał, tym większe okazywał oznaki niepokoju. W końcu z głębi lasu dobiegł jakiś dźwięk.

Nie był to chrapliwy krzyk tygrysa, ani syk boa dusiciela; było to dziwne miauczenie, być może dzieło ludzkiego głosu.

Nagle mój słoń zaczął biec i wściekły się, powalił i stratował tych z moich towarzyszy, którzy byli przy nim. Następnie, z niewiarygodną prędkością, której nie można by przypuszczać u tych ciężkich

² *Mahut* – oścień (szpikulec) służący do poganiania słońia, inaczej *ankus*, którym posługuje się siedzący na tym zwierzęciu poganiasz.



gruboskórców³, ale która pozostawia daleko w tyle prędkość konia, rzucił się w środek lasu, przemykając się z niespotykaną zręcznością między drzewami, nie zderzając się ani nie spowalniając swojego biegu.

Chciałem skoczyć, ryzykując połamanie rąk i nóg, z wysokości wieży, w której siedziałem; ale słoń musiał odgadnąć mój zamiar, ponieważ jego trąba złożyła się na szyi, wyciągnęła w moją stronę, złapała mnie za ramiona i uwięziła w wieży. W tym samym czasie rzucił się do przodu z rosnącą furią.

Nie straciłem jednak całego opanowania i widząc, że moi towarzysze nie rzucili się za mną, aby przyjść z pomocą, zacząłem podejrzewać, że zdeprawowało ich złoto Tip-po-Runa. Rzeczywiście, nawet nie zбочyli z drogi, którą wcześniej podążaliśmy, a wkrótce, biorąc pod uwagę prędkość słonia, zniknęli mi z oczu.

W tym samym czasie przypomniałem sobie, że Hindusi, wykorzystując cudowną inteligencję słoni, czasami szkolili jedno z tych zwierząt do straszliwej roli kata.

Skazańca umieszczano na grzbiecie słonia; jeśli chciał zejść, trąba słonia chwyciła go i czyniła bezsilnym. Następnie, na sygnał dany przez pana słonia, zwierzę wyruszało w drogę. Dokąd miało się udać? Nikt nie wiedział.

Słoń ma dziwną skromność; tak jak starannie ukrywa miejsce, które wybrał na swój pochówek, tak ten, kto musi odebrać człowiekowi życie, chce to zrobić bez świadków.

Słoń idzie więc przez kilka godzin, często kilka dni, niosąc skazańca. Następnie, gdy dociera do miejsca, które wcześniej wybrał na egzekucję, chwyci ofiarę trąbą i rzuca ją gwałtownie na ziemię. Niekiedy po prostu kładzie swoją ogromną stopę na piersi ofiary i miażdży ją, nie powodując długiego cierpienia. Czasami też rzuca nim o pień drzewa, a nieszczęśnik rozbija sobie czaszkę. Innym razem nawet przebija ją swoimi kłami.

Nie miałem już wątpliwości, że jestem w mocy słonia będącego katem. A dziwne miauczenie, które słyszałem, było niczym innym jak sygnałem dawanym przez pana słonia, który bez wątplenia ukrywał się

³ *Gruboskórcy* – wyróżniani dawniej (w wieku XIX) rząd ssaków kopytnych, obejmujący słonie, hipopotamy, nosorożce i tapiry.





Rzucił się w środek lasu, przemykając się z niespotykaną zręcznością między drzewami, nie zderzając się ani nie spowalniając swojego biegu.

w gałęziach jakiegoś masywnego drzewa. Tippo-Runo doskonale obliczył swoją zemstę i moją śmierć.

Straszliwy gruboskórzec przyspieszył swój bieg.

Las ustąpił miejsca rozległej równinie porośniętej wysoką trawą, na której gdzieniegdzie widać było ślady upraw i zamieszkiwania.

– To nie może być w tym miejscu – powiedziałem do siebie – gdzie będę skazany na śmierć. Mam jeszcze trochę czasu.

Była jedna rzecz, której Tippo-Runo nie przewidział, a mianowicie to, że przywiozłem z Europy rewolwer wyprodukowany przez Devisme'a⁴, księcia francuskich rusznikarzy, zajmującego się pociskami wybuchowymi.

Zwykły pocisk ślizga się po skórze słonia, a jeśli przebije ją, nigdy nie dociera na tyle daleko, by zabić go na miejscu. Ale stożkowy pocisk ze stalowym czubkiem, używany na lwy, tygrysy i wieloryby, daje inny rezultat.

Słoń obezwładnił mnie trąbą, ale pozostawił mi do dyspozycji prawą rękę. Tą ręką wyjąłem rewolwer zza pasa. Jeśli natychmiast zabiłbym słonia, byłbym uratowany. Ale jeśli nie zginie natychmiast, będę zgubiony! Nigdy w życiu nie byłem w takim niebezpieczeństwie, ja, który tak często widziałem śmierć z bliska. Mimo to odbezpieczyłem rewolwer i wycelowałem w słonia tuż pode mną, u nasady jego szyi.



X

Nie było łatwo oddać strzał, a oto dlaczego:

Skóra słonia jest nie tylko szorstka i bardzo trudna do przecięcia, ale także bardzo pomarszczona i tworzy ruchome pierścienie, a raczej łuski, które marszczą się jak pustylny piasek pod wpływem wiatru.

Trzeba więc wybrać moment, w którym skóra jest napięta. Wtedy pocisk będzie mógł wnikać w głąb, przebije warstwę tłuszczu, dotrze do mięsa i eksploduje w środku. Celowałem w lewo, tak by trafić w okolice serca.

Słoń stąpał po wysokiej trawie ze zwinnością tygrysa. Tu i ówdzie, co pewien czas, równinę przecinały rowy. Słoń przeskakiwał je

⁴ *Devisme, Lepage* (Le Page) – znani paryscy rusznikarze z tamtej epoki.



jeden po drugim, jakby był koniem myśliwskim. W takich momentach skóra na jego szyi stawała się napięta. Wykorzystałem moment, gdy przeskakiwał ostatni rów i strzeliłem.

Zwierzę wykonało straszliwy skok; w tym samym momencie pękły rzemienie mocujące wieżę z kości słoniowej i zostałem wyrzucony wraz z nią w bok, podczas gdy słoń wpadł do rowu niczym bezwładna masa.

Kula eksplodowała w ciele potwornego zwierzęcia, tuż obok serca, i powaliła je na ziemię. Uratowałem się, ale nadal czułem na ramionach szorstki uścisk jego trąby i ten szalony bieg mnie złamał.

Stałem jednak na nogi, na wpół oszołomiony, ale nie straciłem przytomności umysłu. Podniosłem rewolwer, który wyślizgnął mi się z ręki, gdy upadałem, i wkładając go z powrotem za pas, rozejrzałem się i spróbowałem się zorientować w terenie.

Znajdowałem się na środku ogromnej równiny; las, przez który wcześniej przeszliśmy, jawił mi się teraz w oddali jako niebieskawa linia. Gdybym chciał znaleźć drogę powrotną do brzegów Gangesu, musiałbym wrócić, przejść przez cały las i narazić się na tysiące niebezpieczeństw. Niemniej jednak nie miałem innego wyjścia. Ruszyłem więc w drogę.

Jednak po godzinie marszu moje siły mnie zawiodły. Byłem zmuszony usiąść na trawie przy strumieniu, by ugasić palące pragnienie.

Kiedy ma się ucho przy ziemi, z łatwością dochodzą najodleglejsze dźwięki. Nagle usłyszałem głuchy odgłos, który był podobny do odległego przetaczania się grzmotu.

Wkrótce rozpoznałem, że to stłumiony i szybki kłus słonia. Czy Tippo-Runo mnie gonił? Czy kornak⁵ słonia kata miał misję sprawdzenia, czy egzekucja została wykonana? To było prawdopodobne.

Leżąc na trawie z rewolwerem w dłoni, czekałem.

Kroki gruboskórca zbliżały się z przerażającą szybkością i wstrząsały ziemią wokół mnie.

Podniosłem nieco głowę. Odsunąłem wysoką trawę i spojrzałem. Nagle radośnie wykrzyknąłem. Słoń, którego pośpieszny bieg słyszałem, znajdował się nie dalej niż trzydzieści metrów ode mnie i mogłem rozpoznać mężczyznę, który go dosiadał. Był to mój wierny

⁵ Kornak – w języku hindi określenie poganiacza słonia.



Hindus, Moussami, o którym powiedziano mi w domu Tippo-Runa, że zginął podczas polowania na tygrysa.

– Moussami! – zawołałem.

Stanąłem wyprostowany pośrodku traw, nad którymi wystawała moja głowa.

Moussami krzyknął i słon się zatrzymał.

– Ach, mistrzu – powiedział Hindus – ścigam cię już od trzydziestu godzin i straciłem nadzieję, że znajdę cię żywego.

– Szukałeś mnie? – zapytałem.

– Tak, udało mi się ukryć i dowiedziałem się, że zostałeś powieszony słoniowi katowi. Jak więc udało ci się ująć?

– Zabiłem go – odpowiedziałem.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem i powiedział z powątpiewaniem:

– Nie można zabić słonia.

– Później udowodnię, że się mylisz – odparłem – ale najpierw opowiedz mi o swoich przygodach. Skąd przybywasz?

– Od zdradzieckiego Tippo-Runa.

– Więc nie poszedłeś zapolować na tygrysy?

– Nie.

– Więc co się z tobą stało?

– Od dnia, w którym przybyliśmy do Tippo-Runa – kontynuował Moussami – próbowali mnie pozyskać, bo wiedzieli, że jestem ci oddany. Oparłem się. Więc uwięzili mnie zamiast zabić, co początkowo nakazał Tippo-Runo. Ale była z nim almeja darząca mnie miłością, która poprosiła o moje ułaskawienie i uzyskała je. To ona ostatniej nocy, kilka godzin po pana wyjeździe, otworzyła drzwi mojego więzienia.

„Twój pan zaginął” – powiedziała mi.

Potem powiedziała mi, że dano ci słonia kata jako wierzchowca. Jak mogłem pana ostrzec? Wyjechał pan. A potem wszyscy pańscy oficerowie zostali pozyskani przez Tippo-Runa. Kiedy jednak dowiedziałem się, że katem była samica słonia, nie straciłem nadziei.

Almeja była wszechmocna; dała mi złoty pierścień, który miał sprawić, że zostanę rozpoznany przez wodza wojskowego, którego dom znajduje się dwie ligi od domu Tipa.

Położony na szyi szybkiego konia, popędziłem do wodza.



Widząc złoty pierścień almei, powiedział do mnie:

„Wydaj rozkaz, a ja go wykonam.

– Chcę słońa byka” – zażądałem.

Kilka minut później, dosiadając zwierzęcia, które widzisz przed sobą, znów byłem w drodze.

Zmysł węchu słońa jest równie dobry jak zmysł słuchu.

Po godzinnym biegu nadstawił uszu, wydał z siebie gardłowy okrzyk i dawał wszelkie znaki, że jest szaleńczo zakochany. Najwyraźniej samica słońa, innymi słowy kat, tam była. Od tego momentu zaufałem jego instynktowi i ruszyliśmy twoim śladem. Jak widać – dodał Moussami – słoń się nie pomylił. Ale gdzie jest pański?

Ja z kolei opowiedziałem Hindusowi, jak udało mi się pozbyć potwornego gruboskórca; pokazałem mu mój rewolwer i aby uświadomić mu niszczycielski efekt stożkowych pocisków Devisme’a, wycelowałem w pień drzewa i strzeliłem. Pocisk wbił się w pień, a drzewo pękło, jak-by w środku wybuchła mina.

Następnie wspiąłem się obok Moussamiego na grzbiet jego słońa i ruszyliśmy, już nie w kierunku Gangesu, ale w stronę gór, za którą-mi znajdowała się stolica radży Osmany’ego.

Po kilku godzinach znaleźliśmy się w domu. Umierałem z głodu i zmęczenia. Mimo to po jedzeniu odpoczywałem tylko przez kilka godzin.

Trzeba było jak najszybciej wydostać się z kręgu wojskowego dowodzonego przez Tippo-Runa, aby nie wpaść z powrotem w jego ręce.

Pod wieczór Moussami rzekł do mnie:

– Tippo zdradził radzę.

– Wiem o tym.

– Zdradził wszystkich wodzów fortec, a kiedy nadejdą Anglicy, otworzą się przed nimi bramy.

– Na szczęście – odparłem – zdążymy ostrzec Osmany’ego.

Moussami pokiwał głową:

– Za późno – powiedział.

– Dlaczego za późno?

– Bo połowa armii została przekupiona przez Tippa.

– Cóż to znaczy – odparłem – jeśli druga połowa pozostanie wier-na radży?



– Ale czy radża uwierzy w zdradę Tippa? – zapytał Moussami z wątpiącą miną.

– Dam mu dowody.

Hindus wykonał kolejny gest niedowierzania.

– Radża – powiedział – kocha Tippa tak bardzo, jak Tippo nienawidzi radży, a ja wiem dlaczego...

– Ach, ty wiesz...?

– Spędziłem kilka godzin z almeją, która zna wszystkie sekrety Tippa, i ona mi je przekazała.

– No dobrze! Mów...

– Radża kocha Tippa, ponieważ Tippo uratował kiedyś Koli-Nanę przed płomieniami.

– Dobrze.

– Tippo nienawidzi radży, bo jest zazdrosny.

– Zazdrosny o kogo?

– Teraz – kontynuował Moussami – Koli-Nana jest starą kobietą: ma ponad dwadzieścia sześć lat. Osmany, Kochając ją i szanując, dał jej towarzyszkę, piękną Dai-Komę, która ma zaledwie czternaście lat i jest piękna jak dzień.

– I Tippo ją kocha?

– Na śmierć. Chce więc zrujnować Osmany'ego, by mieć Dai-Komę.

– Nędznik!

– Co więcej, Anglicy obiecali mu mnóstwo złota, jeśli odda Osmany'ego i jego syna, który jest następcą tronu.

– Ale – powiedziałem – skąd almeja o tym wszystkim wie?

– Almeja kochała Tippo; dowiedziała się o jego zdradzie; wiedziała, że Tippo pożądał żony radży i chciała się zemścić!

„Idź – powiedziała, odchodząc ode mnie – spróbuj uratować swego pana, ale jeśli nie dasz rady, idź do Osmany'ego, rzuć mu się do stóp i powiedz, że Tippo jest zdrajcą!”

Wydawało mi się, że opowieść Moussamiemu musiała wywrzeć na radży głębokie wrażenie.

Podróżowaliśmy całą następną noc i część następnego dnia.

Gdy słońce stanęło w zenicie, a upał stał się duszący, na zboczu góry pojawiło się białe, piękne miasto, na wpół ukryte w cieniu dziewiczego



lasu. Było to święte miasto, jak nazywali je górale – błogosławione miasto, które radża Osmany wybrał na swoją stolicę.

Ale, jak zobaczymy, radża nie potrzebował moich rewelacji, by być przekonanym się o zdradzie Tippo-Runa.



XI

Stolica radży nazywała się Narvor. Otaczał ją potrójny pierścień fos i ufortyfikowanych murów.

Zbudowana na zboczu góry, miała pas łąk, które opadały w dół do żyznej równiny, a nad nią cienisty las wznosił wysokie drzewa różnych gatunków, aby chronić go przed promieniami słońca. Po przekroczeniu potrójnego muru i wejściu do miasta można było znaleźć białe domy, fontanny, które utrzymywały chłód na każdej ulicy oraz ogrody pełne kwiatów i owoców. W centrum miasta znajdował się pałac mistrza, kolejne miasto w mieście, również ufortyfikowane, które w razie potrzeby, gdyby wróg przedarł się przez pierwsze trzy mury, mogło służyć jako schronienie dla całej populacji Narvoru.

To już się zdarzyło. Ponad sto lat temu król Oude oblegał Narvor. Obleżenie trwało kilka miesięcy, ponieważ Narvor był broniony przez dzielną ludność i nieustraszonego przywódcę. W końcu jednak padł pierwszy mur, potem drugi, a następnie trzeci. Mieszkańcy schronili się w twierdzy. Twierdza przetrwała, a zniechęcony król Oude w końcu odstąpił od obleżenia.

Twierdza, która służyła jako pałac radży Osmany'ego, była ogromna, z ulicami, placami publicznymi i ogrodami. Aby tam wejść, trzeba było być członkiem domu wojskowego radży. Zwykły Hindus byłby wygnany.

Pośrodku fortecy stał czworoboczny budynek bez okien, oświetlony z góry. Był to harem Osmany'ego. Dwóch czarnych eunuchów pilnowało drzwi dzień i noc. Tylko prawowita żona miała prawo wychodzić i pokazywać się publicznie; odaliski władcy lub inne kobiety udawały się zawołowane do łaźni i na spacer i nikomu nie wolno było się do nich zbliżać.



Harem usytuowany był na rozległym placu; na rogu tego placu znajduje się choultry, czyli szynk, w którym żołnierze osobistej straży radży spotykają się po sjeście i piją, dyskutując o swoich sprawach i ich miłościach.

Pewnego wieczora, czterdzieści osiem godzin przed moim przybyciem do Narvoru, dwóch żołnierzy siedziało na ławce przy drzwiach choultry, rozmawiając przyciszonymi głosami.

Jeden z nich był czystej krwi Hindusem, w żyłach drugiego płynęła domieszka czarnej krwi.

– Czy wierzysz w raj Wisznu? – zapytał Hindus.

– Nie wiem – odpowiedział naiwnie Murzyn.

– Trzeba wierzyć.

– Ale dlaczego?

– Gdyż istnieje, a ci, którzy tam idą, cieszą się nieskończonym szczęściem.

Murzyn rozchylił mięsiste wargi i pokazał swoje białe zęby; potem zdawał się czekać, aż jego towarzysz wymieni radości tego tajemniczego raj.

– Widziałeś ostatnią żonę pana? – zapytał Hindus.

– Tę piękną?

– Tak.

– Jak mogłem ją zobaczyć? Radża nie pozwala jej zdejmować zasłony nawet wieczorem, ale eunuch Roumafi twierdzi, że przyćmie-wa urodą wszystkie królowe Indii.

– To prawda.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Wiem, bo ją widziałem.

– Ty?

– Tak, ja, i to z odsłoniętą twarzą. Otóż – kontynuował Hindus – bóg Wisznu ma w zanadrzu tysiące kobiet tak pięknych jak ona dla każdego, kto wejdzie do jego raj.

W oczach Murzyna pojawił się zmysłowy blask.

– Ale jak się tam dostać? – zapytał naiwnie.

– Trzeba zaryzykować życie dla człowieka kochanego przez boga Wisznu. Jeśli umrzesz, pójdziesz prosto do nieba.

– Dobrze!



- Jeśli przeżyjesz, Wisznu będzie cię chronił aż do naturalnej śmierci.
- Co się wtedy stanie?
- Kiedy twoja dusza opuści twoje ciało, Wisznu otworzy bramy swojego raju i przybędzie na spotkanie twojej duszy z tysiącami kobiet, z których wszystkie, zapewniam cię, są piękniejsze niż ostatnia żona radży.

Murzyn stał się zamyślony; potem, po chwili milczenia rzekł:

- Ale kim jest człowiek, który zdobył przyjaźń boga Wisznu?
- Znam jednego.
- Ach, tak!
- To Tippo-Runo, premier radży.
- Doprawdy! - szepnął Murzyn.
- A kto umrze za Tippo-Runa, pójdzie prosto do raju Wisznu, gdzie znajdzie młode i piękne ciało, białe jak mleko.
- Jak to ja, który jestem czarny?
- Twoja dusza otrzyma ciało jak kość słoniowa.

Murzyn pomyślał jeszcze raz, po czym nagle powiedział.

- Jestem gotów umrzeć za Tippo-Runa. Ale zapewniasz mnie, że raj, o którym mówisz, naprawdę istnieje?
- Gdybym w to nie wierzył, czy byłbym gotów zaryzykować życie, by zadowolić Tippo-Runa?

Murzyn spojrzał na Hindusa z rosnącą ciekawością.

Hindus kontynuował:

- Tippo-Runo jest potężniejszy niż sam radża. Kiedy Tippo-Runo czegoś chce, musi tak być.
- A czego chce Tippo-Runo?
- Jest zakochany w kobiecie i chce ją dla siebie.
- Ma wystarczająco dużo skarbów, by ją kupić, bez względu na cenę.
- Ona nie jest na sprzedaż.

Zdumienie Murzyna wzrosło.

- Ona jest ostatnią żoną radży - rzekł Hindus, nazywający się Mortar. Murzyn był tak zdumiony tą pewnością siebie, że upuścił trzymaną w ręku filiżankę herbaty.

Hindus kontynuował:

- Tippo-Runo przysiągł, że będzie miał żonę radży i będzie ją miał.
- Mury haremu są grube.





– A kto umrze za Tippo-Runa, pójdzie prosto do raju Wisznu,
gdzie znajdzie młode i piękne ciało, białe jak mleko.

- To prawda.
- Drzwi są okute żelazem.
- Zostaną otwarte.
- Ale przez kogo?
- Słuchaj, daję ci wybór, albo natychmiast umrzesz – powiedział Hindus i przycisnął czubek kindżału do jego gardła – albo złożysz przysięgę, że nigdy nie wyjawisz tego, co ci powiem.
- Na mój udział w tym raj, który mi obiecujesz – powiedział Murzyn – przysięgam ci, że moje lewe ucho nie będzie wiedziało nic o tym, co powierzyłeś mojemu prawemu uchu, a grób nie będzie milczał bardziej niż ja.
- To dobrze, wierzę ci.
- Zatem mów – powiedział Murzyn.
- Tippo-Runo jest tak dobrze nastawiony do boga Wisznu – kontynuował Hindus Mortar – że jego słudzy nie wahają się składać mu ofiar, które są niczym w porównaniu ze śmiercią.
- Jak to?
- Tippo-Runo ma Murzyna o imieniu Kougli. Jest Murzynem takim jak ty, ale Murzynem z zachodniego wybrzeża, jednym z tych, którzy są raczej czerwoni niż czarni i którzy są tak piękni, że almage i bajadery często umierają z miłości do nich.
- Dobrze! – rzekł Murzyn.
- Kougli był uwielbiany przez piękną Namounę, bajaderę, która tańczy w Kalkucie, w Białym Mieście, akompaniując sobie wiązką dzwoneczków. On i Namouna mieli się pobrać, a Tippo-Runo, którego był ulubieńcem, obiecał obdarzyć ich fortuną. No więc Tippo-Runo powiedział do Kougliego: „Kocham żonę radży i liczyłem na ciebie. Musisz wejść do haremu”. Kougli odpowiedział, że jest gotowy. Natychmiast porzucił swoją rolę mężczyzny, by być posłusznym Tippo-Runo.
- Nie rozumiem – powiedział Murzyn.
- Mortar mówił dalej:
- Widziałeś nowego czarnego eunucha, który czasem przychodzi z haremu, by ugasić pragnienie z nami w choultry?
- Tak.
- To Kougli.
- To on!



- On. Widzisz więc, że Tippo-Runo ma oddanych służących.
 - Ale – kontynuował Murzyn – to, że jest w haremie radży, nie jest powodem, dla którego miałby porwać młodą kobietę.
 - Sam nie mógłby, ponieważ eunuchowie mogą przechodzić przez bramę haremu, ale nie przez bramę fortecy, a kobieta może ją opuścić tylko z mężczyzną, którego nazywa swoim mężem.
 - No i?
 - No więc następnej nocy Kougli opuści harem z żoną radży.
 - Dobrze!
 - I powierzy ją nam.
 - Nam?
 - Nam obojgu. Do nas należy wydostanie jej z twierdzy; jeśli nam się uda, Tippo obsypie nas bogactwami.
 - A jeśli nas złapią?
 - Radża odrąbie nam głowy, ale my pójdziemy do rajy Wisznu. Wszystkie te wyjaśnienia nie wystarczyły Murzynowi.
 - Czy młoda kobieta zgodzi się pójść za eunuchem? – zapytał jeszcze.
 - Tak.
 - Dlaczego?
 - Ponieważ, kiedy jej ojciec sprzedał ją radży za dziesięć tysięcy sakiewek, miała w sercu miłość.
 - Ach!
 - Kochała młodego, przystojnego Hindusa z Benares i przysięgli sobie wierność. Tippo wiedział o tym i odpowiednio poinstruował Kouglię. Kougli powiedział do żony radży: „Jestem wiernym sługą człowieka, który cię kocha i którego ty kochasz!”. A ona mu uwierzy i zgodzi się za nim podążać.
 - A my?
 - Powiemy jej to samo.
- Murzyn wciąż się wahał.
- Myślisz – powiedział – że uda nam się wydostać z twierdzy?
 - Tak.
 - Ale jak?
 - Żona radży wyjdzie z haremu doskonale zasłonięta, a co więcej, ufarbuje twarz na czarno. Nie masz czarnej żony jak ty?
 - Tak, mam.



– Weźmiesz żonę radży za rękę, staniesz przed drzwiami i powiesz, unosząc róg zasłony: „– To moja żona. – Przejdź” – odpowie wartownik.

– Tak myślisz?

– Mam ku temu dobry powód, ponieważ tym wartownikiem będę ja.

– Ach, to co innego! – stwierdził Murzyn.

– Kiedy będziesz w mieście – kontynuował Mortar – udasz się ze swoją domniemaną żoną do choultry „Błękitna Perła”, gdzie znajdziesz palankin⁶ i eskortę wysłaną przez Tippto-Runa. Ale powiesz swojej towarzyszce:

– To twój narzeczony przysłał nam to wszystko.

– Dobrze! – powiedział Murzyn.

– A teraz – zakończył Mortar – czy zdecydowałeś się mi służyć?

– Tak, jeśli przysięgniesz mi, że raj Wisznu istnieje.

– Przysięgam ci.

– Dobrze – odrzekł Murzyn. – Przyjmuję.

W tym momencie drzwi do haremu otworzyły się i pojawił się w nich czarnoskóry eunuch.

⁶ *Palankin* – rodzaj lektyki stosowanej dawniej w Azji, głównie w Indiach i Chinach, w kształcie krzesła lub łóżka z daszkiem, noszony na drążkach przez tragarzy, ich liczba zależała od znaczenia noszonej osoby.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!

